NUMER GWIAZDKOWY

Konto P. K. O. 149.247. — Należytość pocztową opłacono ryczałtem. — Abonament kwartalny 800 Mk.

Nr. 52. Rok IV. LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW-POZNAŃ-WILNO — 22. GRUDNIA 1921. Cena nr. 60 Mk.

SZCZUTEK

TYGODNIK SATYRYCZNO-POLITYCZNY

Rys. Z. Kurczyńskiego (Lwów).

GWIAZDKA „SZCZUTKA".



Cóż to za święta? hej rodacy mili,
Ładneście sobie drzewko zapalili,

Lecz go wam „Szczutek" z korzeniami wydrze,
Ażeby urwać łeb paskudnej hydrze.

Rys. Z. Kurczyńskiego.



W Dzień Bożego Narodzenia. (Kolędy — nie kolędy)

I.

W dzień Bożego Narodzenia
W Sejmie ważne posiedzenia,
Dniem i nocą z kwaśną miną
Radzą posły nad daniną
Nad daniną.

Rataj zaczyna dyszkantem
Dąbski mu dobiera altem,
Perl tenorem krzyknie czasem
A Trąmpczyński gruchnie basem
Gruchnie basem.

Pan Michalski nieboraczek
Wciąż tłumaczy się jak żaczek:
Jeśli chcesz być z marką w zgodzie
To daninę płać narodzie
Płać narodzie.

Wszyscy trochę się wstydzili
Więc daninę uchwalili,
Ale każdy klnie ukradkiem:
Bierz cię djabli z tym podatkiem
Z tym podatkiem.

A pan Witos z swoim synem
Tak świergocze za kominem:
Cierp cierp Polsko, boś nie chciała,
Byś u steru chłopa miała
Chłopa miała.

II.

Przybieżeli do Warszawy — paskarze
Każdy niesie młodej Polsce — coś w darze
Skoro się tak bogaci,
Niechaj za towar płaci
Bo bussines — tak każe.

Francuz niesie swe perfumy — jedwabie,
Które miłe są dziewczynie — i babie
Vive la Pologne! ja krzyczę — ale mareczki liczę
Gdzie się da — tam grabię.

Anglik niesie swoje sukna — materje,
Bowiem naszą zna w tym względzie — mizerję,
A Polak funty płaci — i chodzi wciąż bez... spodni
Z zimna drży — i ser je.

Powracajcie do Ojczyzny — z darami
Jużeście się dość napchali — markami
Po długich mąk stuleciu,
Wreszcie na własnem śmieciu
Chcemy już — być sami.

III.

Mizerna cicha
Chateczka licha
Dziury wyłażą z opłotek,
Ale w komorze
Piętrzy się zboże:
Tu mieszka polski nasz kmiotek.

Wciąż w Sejmie woła,
Że wieś jest goła,
Że trudno płacić bez miary,
Lecz w zakamarki
Pochował marki,
A w skrzyniach dusi dolary.

Hej! płaćcie kmiotki
Bo macie środki,
Nikt waszej biedzie nie wierzy.
Otwórzcie skrzynie
Dajcie daninie,
Co jej się słusznie należy.

Henryk Zbierzchowski.

W. RAORT.

Pokój ludziom dobrej woli...

Pokój na ziemi...

Gorzką i palącą ironją stały się słowa ewangeliczne św. Łukasza.

Wygnaliśmy Pokój z domu naszego i serc naszych, otwarłszy na ścieżaj drzwi, przez które wślizgnęły się Niepokój bladolicy, Niedola szpetna, Troska siwowłosa i Strach o wyłupiastych oczach...

Zasiedli ci goście u progów domostw naszych, przy stole i u wezgłowia posłań, gdzie od lat się rozgościli i królują wszechwładnie.

Troska siwowłosa idzie za nami krok w krok przez życie, jak cień nieodstępny, Niedola nastawia garnki do obiadu, Niepokój ścieli nam łóżka, a Strach o wyłupiastych oczach siada u łóżek i do snu kołysze...

O, czemuż otworzyliśmy niebacznie drzwi domu naszego?...

Czemu wygnaliśmy z serc i domów naszych cichy anielski Pokój?...

Straszliwi goście nie dadzą się tak prędko z pośród nas wypłoszyć! O, nie!... Targać będą niespokojnem sercem ludzkiem, jak wichura targa samotną limbą, wśród śmiertelnie pustej kotliny — płoszyć będą sen z powiek naszych — dusze koszlawić będą i rzucać na fale sprzecznych prądów, gdzie wir straszliwy czyha na nie i pochłania...

Nie dadzą się ci goście odpędzić!...

Wygnaliśmy pokój z serc i domostw naszych, drzwi otworzywszy na ścieżaj...

— — — — — — — — — —

...A kiedy spodlona ludzkość za czasów cezarów rzymskich pławiła się w potokach krwi, a hekatomby ciał ludzkich miały odstraszyć Ducha i Miłość, idące od wschodu — apostoł Piotr cofnął się przed bramami wiecznego miasta, przelękniony ogromem zepsucia i morzem złości oraz nienawiści ludzkiej, jakie zalało miasto cezarów...

Miał tam iść Piotr z woli Mistrza, z słowem miłości i przebaczenia, z słowem zapowiedzi nowego jutra dla słabych i małych tego świata i przeląkł się, że nie starczy ofiary i męki jednego istnienia, aby okupić miljony zatwardziałych i ślepych grzeszników — i cofnął się.

I trzeba było, aby na drodze apijskiej ukazał się sam Zbawiciel, zalęknionemu niepomiernie ogromem zbrodni ludzkich apostołowi, aby mu przypomnieć cel i posłannictwo, do jakich go powołał i przeznaczył.

— Quo vadis Domine?...

Chrystus zstąpił na ziemię. Z nad sennych błamów światłości i jaspisowej dali zstąpił Zbawiciel ku bramom wiecznego miasta, czającego się w liljowo-złotym zmroku, jak zwierz apokaliptyczny, który opiwszy się żądzy ludzkiej do syta, po orgji drzemie przez chwilę...

Szedł, aby poraz drugi dać się ukrzyżować za winy tych, którzy Go ukrzyżowali!...

Błogosławił miastu i światu, które klątwy i gromu wartały...

Urbi et orbi...

— — — — — — — — — —

Dzień Bożego Narodzenia.

Chrystus zstąpił na ziemię. Z nad sennych błamów światłości, z jaspisowej dali, w przedziwnie rozbłękitniony zmierzch, idzie Zbawiciel świata z słowem miłości wielkiej na ustach i sercem łaski pełnem.

Ludzkość znowu potrzebuje Odkupiciela!...

Przebrała się miara krzywdy i brutalnej siły mocniejszych nad słabszymi; przebrała się miara przemocy, egoizmu, podłoty, ślepoty i nienawiści ludzkiej!...

Życie ludzkie przestało być synonimem najdoskonalszej harmonji ducha, a duch treścią wewnętrznego piękna.

Człowiek stał się istotą, od której wymaga się silnych muskułów i gibkiego ciała drapiezcy, wytresowanego do walki i mordu, na arenie gladiatorskiej możnych tego świata.

Skarlały mózgi i dusze ludzkie; zamilkły litość i przebaczenie; odeszły dobroć i współczucie.

Skonał Człowiek.

A w miejsce jego: wyolbrzymiały mięśnie i żołądki; trjumfują utylitaryzm i nienawiść; — przywędrowały egoizm i złość...

Odżył pra-zwierz człowieczy.

Po zaśnieżonych równinach naszej ziemi hula wiatr północny i zawodzi jękliwie na rumowiskach sadyb ludzkich — pola chlebne rodzą jeszcze chwasty i gorczycę... — na gruzach miast zburzonych przez wojnę, wyją psy wygłodniałe, a zaraza tuli się w lepiankach... hen! na kresach...

W ślepym obłędzie nienawiści wydziera brat-człowiek — swemu bratu-człowiekowi nędzny ochłap strawy, silniejsi depczą po ciałach słabszych i chorych, kupczą na gwarnych targowiskach ludzkich honorem, sercem i sumieniem, tańczą zawrotny taniec około złotego cielca i padają w proch przed Mamonem...



Z nędznych izdebek dochodzi płacz głodnych dzieci — nikt tego nie słucha!... Człowiek, porając się w ciężkiej walce z życiem, pada omdlały — nikt go nie podnosi...

Dookoła zmęczonych i chorych włóczą się szakale i kruki — nikt je nie odpędza!...

Usta ludzkie zapomniały szeptów modlitewnych, rumieniec wstydu nie pojawia się już na cynicznych twarzach i miedzianych czołach, a serca zamarły na ból i niedolę człowieczą...

Dzień Bożego Narodzenia.

Jak ongiś apostoł Piotr w drodze do spodlonego Rzymu — tak teraz Zbawiciel świata stanął w pół drogi...

Przeląkł się ogromu namiętności i nienawiści ludzkiej.

Struchlał na widok bezmiaru egoizmu człowieczego.

Zapłakał nad zatratą duszy tych, których umiłował swem sercem gołębiem.

Quo vadis Domine?...

— — — — — — — — — —

Ludzkość znowu potrzebuje Odkupiciela.

— — — — — — — — — —

Z nad sennych błamów światłości, z jaspisowej dali, w przedziwnie rozbłękitniony zmierzch, idzie w ten dzień Bożego Narodzenia Zbawiciel świata ku nam z słowem miłości wielkiej na ustach i sercem łaski pełnem...

Odjął dłoń od smutnych do załkania oczu i wzniósł ją, błogosławiąc miastu i światu...

Pokój ludziom dobrej woli...



Wincenty!

Przed paru miesiącami, podczas zgromadzenia urzędników państwowych, omawiano sprawy „aktualne" (wyposażenie w mareczki). Przemawia właśnie delegat urzędników prywatnych' taki „od przesyłek dolarowych". Incognito zjawia się na sali jeden z wybitnych członków P. S. L. Patetyczny mówca, poznając natychmiast jednego ze swoich klijentów, zwraca się do niego z powitaniem:

— „Witaj nam szanowny suwerenie..."

— (Przerywa mu). „Toś pan już powinien wiedzieć, że jo nie żaden Seweryn ino Wincenty. *Kicz.*

Boże Narodzenie w Anglji.

(Telefonem bez drutu).

Cała wielka rodzina pojednanego panimperjum anglosaskiego zebrała się w uroczystej sali, by święcić dzień Narodzin Dzieciątka. Skończyły się trudy waszyngtońskie. Jego Królewska Mość oderwał się raz od albumu marek pocztowych, Jego Królewiowska Wysokość książe Walji pytał się z niepewnością: „Więc dziś nie muszę wizytować na pancerniku żadnego Trengganu ani Aitutaki?" — John Bull nalewał kieliszek „john-bulla" Uncle Samowi, Lloyd George ze wzruszenia familjarnego polecił, żeby w Irlandji nie strzelano na wiwat do sinnfeinerów.

Prezydent Harding wydobył z kieszeni Ewangelję i ocierając łzy, westchnął — „Wpaść na pomysł takiej świętej księgi, to też bussiness!"

Cisza błoga zaległa dom anglosaski, zza okien dolatywały jeszcze okrzyki rozradowane:

— Merry Xmas, merry Xmas!

Żeby nastroju nie mącić i żeby ciszy nie skłóciły echa z Indji, na tydzień naprzód wydano żołnierzom na wybrzeżu malabarskiem po dwa gurty dum-dumek do karabinów i kulomiotów.

Na dworze zaczął prószyć śnieg, a staroangielski kominek jął buchać ogniem i trzaskać tak rodzinnie, że humory rosły jak kurs funtu sterlinga w porównaniu z marką niemiecką.

Lloyd George pyta się swego sekretarza:

— Co porabia pański współwyznawa Stinnes?

— Przepraszam, Excelencjo, ja jestem synem kościoła...

— On też już, — przerywa jowialna ekxcelencja.

Nagle wszyscy milkną: oto chwila najuroczystsza w roku angielskim.

Wnoszą plumpudding.

Smaczną mieszaninę czysto anglosaską. Poszatkowane mięso irlandzkie z egipskim ryżem, podlane hinduską krwią, szpikowane główkami filipińskiemi, wonnemi gwoździkami, które ciosa się na głowie Polsce, Grecji, Portugalji itd. Brakło tylko madery, tę tego roku wypił Karol do szczętu.

Lord Curzon powiada roztkliwiony.

— Zapalimy rum, niech się świeci nam jasno! Ale żeby był czerwony...

Ktoś z końca stołu pociesza:

— Czerwonego to dziś na świecie dość i z czerwonym można robić interes — first class.

Był to dostawca najnowszych aparatów do masowych egzekucji dla czerezwyczajek.

— Pal, bracie, masz zapałki — tanie, kupiłem w Wiedniu, za austrjackie korony — żartuje jakiś jowialny Amerykanin.

— Pal, potwierdza Lloyd George — niech się pali Europa, niech się rżną, mordują — inaczej nie będziemy mogli zatrudnić naszych bezrobotnych w fabrykach amunicji i dział. My Anglosasi jesteśmy za morzami bezpieczni.

Już ktoś miał zaintonować na pianinie nowy hymn:

„Rule Anglosaxonia, rule the waves"...

(Co po polsku znaczy:

„Panuj Anglosaksonjo, panuj nad bałwanami"...).

Gdy psotnemu Winstonowi Churchill przyszła do głowy — jemioła. Święta jemioła, która wisiała ze stropu, ciemno zielonem, pasożytniczem listowiem znacząc się wśród świateł sali.

Pod jemiołą postawiono dostojnego gościa, księżniczkę Naguyayama.

— No, Amerykaninie, całuj teraz!

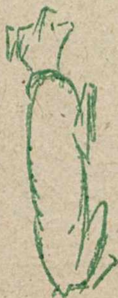
I wzięto Uncle Sama za bary. Mus tradycji jest święty. W angielskim „home" dziewica pod jemiołą jest tykalna i biada temu, ktoby nie skorzystał...

Japonka skrzywiła kose oczki, poruszyła małemi chrapkami, a coś zza jej wachlarza zamigotało, jakby krótki miecz samuraja.

Uncle Sam szarpnął się, wrzasnął: „Goddam!" i wyrwał się, spluwając.

Shoking:





Ktoś odważył się być szczerym! Nastrój cały prysł bezpowrotnie.

pi.

Menu wigilijne urzędnika państw.

1. *Dwa grzyby w barszczu* na pamiątkę tych dwóch, trzech, czterech ministerjów, którym podlegam, a nie wiem, któremu właściwie.

2. *Rura z barszczu* jest niepotrzebna. Największą rurą jesteś ty sam, biały niewolniku.

3. *Ryba* na znak, żebyś milczał, gdy ci zniżą od pierwszego płacę.

4. *Chrzan*, żebyś pamiętał, że to wszystko do chrzanu, co robisz.

5. *Niebieskie migdałki* na deser, jedyne, o czem marzyć możesz, bo co innego nawet na marzenie za drogie.

pi.

Na gwiazdkę.

Co — komu — ofiarować?

Ministrom:

Michalskiemu — żelazną miotłę.

Skirmuntowi — pancerz ochronny przeciw notom Cziczerina, Karachana i Szumskiego.

Posłom:

X. Teodorowiczowi — fotografję Daszyńskiego.

Daszyńskiemu — fotografję X. Teodorowicza.

Witosowi — tuzin krawatów.

Wł. Grabskiemu — łaskawy uśmiech R. Dmowskiego.

Zamorskiemu — jego amerykańską broszure, oprawną w świńską skórę.

Dąbalowi — dyplom honorowego członka czerezwyczajki moskiewskiej.

Łańcuckiemu — portret Trockiego.

Okoniowi — „Rozmyślania więzienne". *AB.*

Fachowy oficer.

Rtm. Biurałło-Biuralski, nie mogąc strawić swego dowódcę, dwudziestoletniego pułkownika, układał z cywilem p. Tintenklecks, artykuł do „Rzeczypospolitej" pt.: „Ściśle wedle wieku!"

Po kilkugodzinnych mękach artykuł był gotowy.

Smiertelnie znużony (pierwszy raz po polsku tyle napisało się... bez cywila i tak djabeł niedałby rady) idzie na opłatek tańczący do Y-ów. Szumi muzyka w głowie i artykuł, który ma jutro okazać się w „Rzeczypospolitej".

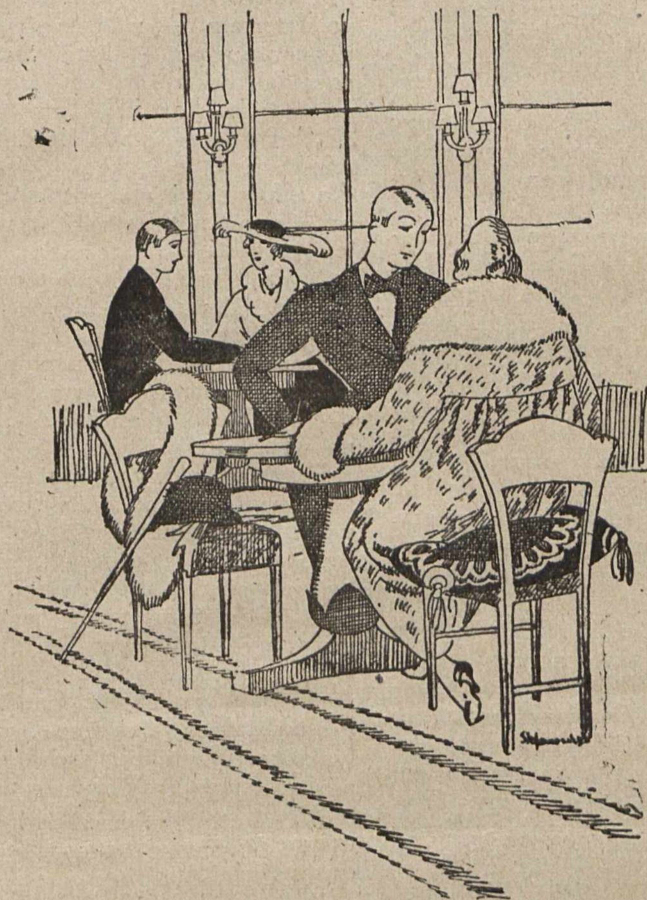
By ochłonąć, pan rotmistrz puszcza się w tan z swą „upatrzoną". Najstarsza i najbrzydsza córa domu. — 31 lat de jure, połowa z tego de nomine, folwarków nieco mniej.

— Ah, pan rotmistrz wyróżnia mnie dziś... szepce stęskniony a przewiędły podlotek.

— Sciśle wiedle wieku, ściśle wedle wieku... odszepnął pan rotmistrz.

I przepadły folwarki. *pi.*

Dodatek „SZCZUTKA"



— O! w jakim ty świetnym jesteś humorze!
— A bo widzisz, udało mi się namówić teściowę, żeby pojechała do Zakopanego, na saneczkowanie.
— Dbasz widocznie o to, aby twoja teściowa używała sportów.
— Tak, zwłaszcza karkołomnych!

Znakomity dowcip.

(Autentyczne).

— Proszę pana, którego dziennika humorystycznego jesteś pan współpracownikiem?
— „Szczutka".
— Szkoda! Mam dla pana znakomity dowcip świąteczny, ale on nadaje się wyłącznie do „Bociana", ale nie do „Szczutka". *Mar.*

Nowe określenie.

Żona do męża:
— Więc nie dasz mi pieniędzy na święta?
— Nie dam, bo nie mam.
— Ty jesteś brutalnym, ty jesteś okrutnikiem, ty jesteś... Landru! *Mar.*

Zuzanna Rabska i Cyprjan Norwid w oświetleniu „Gazety Warsz."

Ku rozweseleniu Sz. Czytelników „Szczutka", podajemy dosłownie jak się zapatruje sprawozdawca literacki „Gazety Warszawskiej" (Nr. 336 z d. 8. grudnia 1921) na p. Zuzannę Rabską i Cyprjana Norwida:

„Książki pisane przez p. Rabską, posiadają zasłużoną dobrą sławę. Wyróżniają się wytwornością pióra, pięknem ujęciem tematu i inwencją poetycką.

Słabość Norwida stanowi pewna dwoistość jest twórczości. Autor, o niewątpliwie wysokiej wyobraźni i zmyśle do sztuki, borykał się często z materjałem, w którym tworzył, świadomie, ale też i lekkomyślnie zaciemniał swój język i to, co miało być poezją, zmieniał niekiedy w traktat filozoficzny. *Mar.*

Woda.

— Marysiu, przynieś mi szklankę wody.
— I mnie także.
— Bójcie się Boga dzieci, czyż nie wiecie, że magistrat stołecznego miasta Warszawy podwyższył opłatę za wodę o tysiąc pięćset procent?! — wypijcie jedną szklankę do spółki! *AB.*

Spadki.

— Aj! Moryc! jakie zmartwienie ciocia Reginka potrzebowała ze schodów spaść!
— Nie zawróć ty mi w głowie! ja mam gorsze zmartwienie, że dolary spadły! *Boguś.*

Nowobogaccy o Wyspiańskim.

— Stara, może kupić lożę do teatru? pójdziemy ze Zosią na *Noc listopadową.*
— Ady jakże można młodą panienkę prowadzić na takie sztuki!
— Myślisz, że to nieprzyzwoite?
— Rozumie się! jak już na afiszu piszą: *Noc*, to wiadomo, że to musi być jakiś tłusty kawałek! *AB.*

Nieposzlakowana prawica.

— Słyszałem, że Hipcio nie gardzi na swem urzędowaniu podejrzanymi dochodzikami, kiedy mu jednak delikatnie o tem napomknąłem, wyciągnął ku mnie rękę i rzekł:
— Zaręczam ci, że możesz bez wszelkich skrupułów uścisnąć tę, oto moją prawicę, jest ona czysta i nieposzlakowana!
— I powiedział szczerą prawdę! bo on zawsze łapówki bierze — lewą ręką. *Boguś.*

Fenomen.

— Wyobraź sobie, że w naszym jeziorze złapano ogromnego szczupaka, który miał karpia w żołądku.
— Pfi, ja znam ciekawy wypadek! okonia, który ma kiełbia w głowie! *AB.*

Zawiadomił ich!

Właściciel kantoru wymiany p. Silbersak potrzebował się wychrzcić. — W drodze z kościoła do kantoru łamał sobie głowę nad tem, w jakiby sposób najstosowniej zawiadomić o zmianie wyznania swój personal.

Zdecydował się wreszcie i już na progu swego kantoru woła:
— Słuchajcie żydzi! Żebyście wiedzieli, że od dnia dzisiejszego ja jestem... urodzonym antysemitą! *Mar.*

Ogłoszenia na czasie.

Chemiczka, na drugim trymestrze z kuchnią, poszukuje dla współpracy kolegi z urządzeniem gazowym. *Kicz.*

List przedświąteczny.

Warszawa, 17. grudnia 1921.

Kochana Żonusiu!

List Twój, który przed chwilą otrzymałem, tak mnie zdenerwował, że całą noc nie mogłem zmrużyć oka!

W pierwszej chwili po przeczytaniu go pomyślałem sobie: „Na tak ciężkie zarzuty nie ma co odpowiadać pisemnie. Za kilka dni wyjeżdżasz do domu na święta, to osobiście udowodnisz swą niewinność i wykażesz podłość i przewrotność swych wrogów".

Miłość moja do Ciebie jest jednak tak wielka i bezgraniczna, że nie mogłem pozwolić, abyś się — choćby tylko przez kilka dni — niepotrzebnie dręczyła. Dlatego piszę ten list.

Jakżeż to, Żonuś? I Ty wierzysz, że mógłbym popełnić wszystkie te zarzucane mi podłości? Ze mógłbym Cię zdradzać w tak podły, haniebny sposób? Ja — Ciebie? Czy mogłaś wątpić choć chwilę, że to wszystko zwyczajne plotki i wymysły ludzi podłych i zazdroszczących mi szczęśliwego pożycia z Tobą, karjery urzędniczej i czy ja wiem, czego jeszcze?

Przypomnę Ci, jak się sprawa poczęła:

Przed niespełna trzema laty zgodziłem się na me przeniesienie do Warszawy, ponieważ oboje uważaliśmy to za szczęście. Przeskoczyłem odrazu dwie rangi i zostałem naczelnikiem biura, a zdawało się, że lada dzień będę musiał zostać szefem sekcji czyli jak to się dziś nazywa „dyrektorem departamentu".

Spodziewałem się, że Cię wkrótce wraz z dziećmi będę mógł sprowadzić do Warszawy i tylko w tej nadziei zamieszkałem narazie w umeblowanym pokoiku kawalerskim. Tymczasem mijały tygodnie i miesiące i mieszkania ani rusz znaleść nie mogłem.

Wierz mi, że martwiłem i martwię się tem nie mniej od Ciebie, ale cóż mogę na to poradzić? Na pocieszenie mogę Ci tylko powiedzieć, że w tem położeniu co ja znajduje się w Warszawie kilkuset urzędników ministerjalnych.

Prowadzę życie ascety i pustelnika. Z domu do biura i z biura do domu. Prawdą jest, że mnie kilka razy widziano na ulicy w towarzystwie pracującej w mem biurze panny Jadwigi S. — Przyznaję to właśnie dlatego, ponieważ się nie poczuwam do niczego złego.

Moja Kochana! Dawne czasy minęły, kiedy to szef biura mógł zadzierać nosa wobec podwładnych. Dziś czasy demokratyczne. Jeżeli w drodze do biura lub do domu spotykam pannę Jadwigę, to wprost niewypada inaczej, lecz muszę przystąpić do niej. Z tego samego powodu musiałem też dwa, najwyżej trzy razy przysiąść się do niej w cukierni, gdzie ją spotkałem zupełnie przypadkiem. A złośliwość ludzka ukuła z tego zaraz zarzut, że bardzo często widzieć nas można razem w cukierniach!

Co się wreszcie tyczy teatru, to rzecz się miała następująco:

Pewnego razu mówi mi panna Jadwiga:

— Otrzymałam list od siostry z Krakowa, że nie może przyjechać.

— I z tego powodu pani tak zrozpaczona? — pytam.

— Tak. Bo pomyśl pan sobie, będąc pewna przyjazdu siostry, kupiłam dwa bilety do teatru i nie wiem, co z nimi teraz zrobić.

Z czystej litości zdecydowałem się zastąpić siostrę. Ale przysiąc Ci mogę, że prócz tego i może jeszcze jednego razu nigdy zresztą z panną Jadwigą nie byłem w żadnym teatrze.

Jak widzisz z powyższego, zupełnie prawdziwego przedstawienia rzeczy, łączy mnie z panną Jadwigą stosunek li tylko koleżeński. Naraziłbym się prz cież wprost na zarzut konserwatyzmu, gdybym ją tylko z tego powodu inaczej traktował, niż wszystkich innych kolegów, że jest przypadkiem kobietą. Zauważyć muszę, że panna Jadwiga jest jako pracowniczka siłą pierwszorzędną i że z tego powodu postawiłem wniosek na udzielenie jej wyjątkowej remuneracji świątecznej.

Tych kilka słów dla uspokojenia Cię i obalenia Twych zarzutów, a raczej oszczerstw mych wrogów. Na święta będę, jak wspomniałem, we Lwowie, więc spodziewam się, że uda mi się rozwiać resztki wątpliwości, gdyby wbrew memu oczekiwaniu, miały w tej sprawie jeszcze pozostać w Twem sercu.

Ciebie i dzieci ściska i całuje serdecznie Twój mąż.

*

Z oryginału przepisał

Mar.



Awans kartofla.

Coraz częściej słyszy się teraz o kartoflu. Awansował z kuchni aż do polityki. Figuruje na honorowych miejscach wstępnych szpalt w najpoważniejszych dziennikach i wyparł zupełnie, tak drogą obecnie kiełbasę. Nawet termin — ziemianin przętransponowano na — kartoflarz tj. taki, co sadzi, hoduje je i ma ciągle w myślach tylko kartofle.

„Kartoflarz" stało się miłym przymiotnikiem, a także i wyzwiskiem dla człowieka realnego, który siedziałby w ziemi jak kartofel, trzymając się jej wszystkimi korzeniami. Wiadomo, że kartofel, nie lata, a także człowiek jedzący ziemniaki, nie ma lekkości motylka politycznego.

Uprawa zaś kartofla zgina ludziom karki ku ziemi, w przeciwstawieniu do smukłych plantatorów... gruszek na wierzbie.

Przyzwyczajony do dłubania w ziemi nasz wieśniak nie nadaje się na aeronautę albo gimnastyka politycznego, radby siedzieć najniżej na roli, chciałby jej mieć jak najwięcej. Kartofel jest także symbolem: jest szarym, pospolitym owocem ziemi, wymaga wiele pracy, zachodu, a bez przyprawy jadają go chyba bardzo niewybredni. Więc smakosze rzadko bywają kartoflarzami, sadzenie kartofli nie dostarczą środków na trufle: aby jadać wykwintnie, trzeba mieć lukratywniejsze zajęcie, np. handel en gros, dostawy i tp.

Teraz kartofel doczekał się rehabilitacji. W Niemczech „tezauryzuje się" jego zapasy. W całej środkowej Europie wypchał z ogródków pałacowych tulipany. Bodajby u nas zawsze wyparł kosztowne, a bezużyteczne kwiaty... cebulkowe.

Ostatnio zastępuje nawet — mydło. Doniósł o tem interesująco jeden z dzienników, pisząc:

Dzisiaj, kiedy mydło stało się skutkiem ceny nieledwie przedmiotem zbytku, trzeba przypomnieć, że można je zastąpić ziemniakami. Oskrobiny ziemniaka, pokrajane na drobne kawałki i zmieszane z niewielką ilością wody, nadają się do mycia szklanek, karafek, słojów itp., niszcząc zastarzałe nawet plamy. Utarty surowy ziemniak, przedtem dobrze umyty, jest doskonałym środkiem do czyszczenia kolorywych materji wełnianych i tapet. Ziemniaków można także używać w zastępstwie mydła, do prania bielizny. Ziemniaki czyszczą bieliznę lepiej, aniżeli mydło.

Niech żyje kartofel! Gdy zastąpi jeszcze mydło toaletowe i — moralne, stanie się panaceum na wiele naszych braków.

Czy wejdzie w tej nowej formie w politykę?... „Sztuka" polityki jest **sztuką mydlenia oczu"**, rzekł jeden

z naszych polityków. Inny znów nazwał ją „goleniem bez mydła“. Może więc i tej nowej rangi doczeka się wszechstronny kartofel, narazie mydło kartoflane zda się w polityce do jednej tylko funkcji:

Niech pierze! *St. Nowiński.*

Mnemotechnika.

— W jakiż to sposób sobie zapamiętać, po której stronie nosi się rewolwer, a po której lornetkę? — pyta zrozpaczony podchorąży swego porucznika, dowódcę kompanji.

— Ćwicz pan pamięć w ten sposób jak ja to robię. Niechże pan sobie zapamięta: *rrr*ewolwer po *prr*awej stronie, *ll*ornetka po *ll*ewej stronie. To jest bajeczny sposób zapamiętywania. Niechże pan sobie tę metodę przyswoi, a przekona się pan, że mam rację.

— Podchorąży zagląda jednak do przepisów i znajduje, że przeciwnie się nosi. Zwraca na to swemu porucznikowi uwagę i dodaje, że w tym wypadku ta metoda pamięciowa zawodzi.

— Jakto? — powiada porucznik — Bardzo prosty sposób niech pan sobie tak zapamięta: rewo*lll*wer po *lll*ewej stronie, lo*rrr*netka po *prr*awej stronie.

Pojedynek amerykański.

Pan Pipman i pan Kugelschwanz się pokłócili. Krótko i węzłowato jeden złapał drugiego z własną żoną na „gorącym spoczynku“. Co was to obchodzi kto kogo? Nu! i nie ma co pojedynek amerykański. Kto będzie miał czarną kulkę ten sobie strzeli w łeb i to zaraz na miejscu, ale w drugim pokoju.

Ciągnął Pan Kugelschwanz zawsze wogóle miał pecha. No i teraz właśnie on musi wyciągnąć „czarne gałkie“. Drżącemi rękami wychodzi z rewolwerem do drugiego pokoju. Za chwilę strzał! Cisza. Wreszcie otwierają się drzwi... kto stoi w drzwiach? pan Kugelschwanz.

— Możecze mnie pogratulawać, ja sze nie trafiałem.

— Bój sze Boga — wołają sekundanci — to ty teraz będziesz niechonorowy, to czebi żaden ućciwy człowiek ręki nie poda...

— A tak, toby mnie podał?

Nareszcie sami.

Chciałem być z nią sam, spędzić z nią kiedyś wspólną chwilę samotności.

Poszliśmy do pewnego teatrzyku. Niestety było tam kilkanaście osób. Potem szukaliśmy samotności w pewnym teatrze (operetka). Ale i tam było trochę z waty. Pożeglowaliśmy do pewnej kawiarni przy ludnym placu. Ale i tam było kilku zdemobilizowanych, którzy zabijając czas, wytrwaniali ostatnie grosze na kręgielki.

Aż wreszcie znaleźliśmy oazę pustki. Była to wystawa Sztuk pięknych.

Czyste sumienie.

Ostatnio w kinie „Apollo“ zaszedł przykry wypadek. W czasie przedstawienia wpada jakiś mężczyzna z rewolwerem w ręku, krzyczy, że nie wierną zastrzeli i jego też, że oni tu być muszą. Bileterzy nie wpuszczają go jednak na salę i zatrzymują jak długo mogą, a tymczasem jeden z nich wchodzi i oświadcza publiczności co się dzieje i prosi, ażeby ta para celem uniknięcia skandalu wyszła ze sali.

Na to porywa się z krzeseł 63 par i ucieka bocznem wyjściem.

Na drzewko.

Oby Babcia Koalicja raz dała jaki śliczny podarek *na drzewko*.

Np. Dać tak Lloyda George'a, Ludendorfa i Trockiego *na drzewko*, ale tak, żeby się nie oberwali... *pi.*

Zmiana temperatury.

Mały Stasio: — Tatusiu, tatusiu, prawda, że robi się zimniej gdy termometr spadnie.

— Tak jest moje dziecko.

— A nasz termometr spadł.

— O ile?

— O trzy metry, jak stałem przed chwilą przy oknie.

Rys. J. Doskowskiego (Kraków)

Libacja świąteczna paskarza warszawskiego.



Pij, tłucz szklanki, rozbij tacę,
Ja za wszystko dzisiaj płacę.
Mam zubożyć się daniną,
Wolę przepić miljon z Niną.

Smutny ptak.

W gniazdku rodzimych mdłości i bolączek blednicowych wzrastało pogodnie i wesoło młode orlę. W schronisku maleńkim, wzniesionym wysoko nad zamkiem królewskim, przebywał beztroski ptak, spędzając na wieży dumnej swe monotonne życie.

Wolno mu było przebywać jedynie w obrębie zamku. Młody ptak rozmyślał nad zakazem. Pytanie czemu nie mógł swobodnie pohulać w przestrzeni, w złotem słońcu, kołując nad głowami mieszkańców, nad nurtem szarych fal Wiernej Rzeki, nad ogrodami i zielonością pachnących łąk — absorbowało jego gorące serce. W jego życiu codziennem nic się nie zmieniło. Uśmiechał się i tęsknił. Bywały chwile, że interesował się z wysokości swego domku na wieży, ruchem żołnierzy, ich sprawnością szyków zwartych — szczękiem orężnym, trywialnym rozhukiem pieśni tęskliwych. Wtedy poczynał rozpamiętywać, przypominać. Błyski nagłe pojawiały się w ptaszęcym zgaszonym spojrzeniu. Poczynał myśleć. Myślenie jest trudnym sportem. Nic dziwnego, że młody ptak, zwany orłem, zwracał ustawicznie szerokość skrzydeł w stronę placów musztry i kopuł cerkiewnych, bowiem ogromnie był ciekawy, jak wygląda po uroczystościach nabożnych defilada wojska. Więc upozował swą elastyczną giętką główkę w zalotność zaczepnych ruchów i trzaskał rozkosznie skrzydłami nad miastem stołecznem; a że uwłosienie miał mleczne o srebrnym połysku piór i zachwyt dziecięcy w jasnej główce, zwrócił powszechną uwagę. Oddano go do wyższej uczelni, a w dowód jego niezwykłej inteligencji i talentu w wykazywaniu taktu i posłusznych ukłonów wdzięcznych — rozszerzano jego widnokręg myślowy, obarczając wydłużoną szyjkę jeszcze jedną głową. Bystry rozum podwójnej porcji mózgu, umieszczony w dwóch czerepach, urobił myśli skonsolidowane, wierne, biblji narodowej i ryngrafom, przezornie zamienianym na „gieorgjewskie kresty“, a przedewszystkiem herbom żubrów (szlachciców prawie wymierających), rozmieszczonym na ścianach, w sali lekcji tańców, i ogłady na dworach Petrogradu. Głowy te sporadycznie zmieniały kolor. Były lata, w których dekoratorzy — najwyżsi artyści ówczesnego prądu nowość (coś w rodzaju fetoryzmu) uważając się za wybrańcoznawców farb swej ojczyzny, stroili młode, zalotne orlę w biało-niebiesko czerwone piórka, to w żółto-czarne i w samo czarne (ostatni wyraz mody: zdarta bestjalsko w górę pojedyncza głowa). Młodość orlęcia i bujny polot piór, wzniecających iskry w otoczeniu — strzępiły niemiłosiernie szarugi i wiatry złe. Dawna nieskalana białość uwłosienia pokryła się warstwą kurzu i nawet baczniejsze oko nie mogło się dopatrzeć nastrojowego kolorytu. Postarzał się blady ptak, patrzył smutnie na wszystkie strony; myślał podwójnie, potrójnie (w zależności od nakładanych nań barw) i obojętnie odprowadzał zwrokiem wojska maszerujące po ulicach stołecznego miasta.

Nudził się co raz bardziej. Odbierał pokorne hołdy starszych emerytur. Wypełniał regularnie zobowiązania, że nie przekroczy progu swego mieszkanka, że będzie spokojnie obserwował wszelki żywy i martwy inwentarz i żył w dobrobycie u swych panów-władców.

Wbijając stalowe źrenice w żar słoneczny — myślał o swym przyszłym losie. Dobrze mu było fantazjować w pogodzie wiosny. Podpatrywał ludzi, liczył szeregi wojska różnojęzycznego. Widział odjeżdżające transporty żołnierzy, przygnębienie na twarzach dowódców i niezwykłe zdenerwowanie.

Myślał i czekał.

Już teraz często o rannej porze dnia wychodził ze swego ukrycia: nadsłuchiwał i patrzył...

Po dróżkach mało uczęszczanych, po kniejach, lasach, zagajach — obdartusy — wesołki skupiali się w gromadę. Cywile to były zamurusane, niezgrabne, bez broni. Szli pojedynczo, kupą, dowolnie — jak kto mógł. Na polanach obramowanych lasami, stawali w karnem porządku, wykonując pocieszne ruchy gimnastyczne.



Kiedy młode orle ujrzało, że z tej kolumny bezładnej poczęły się snuć olbrzymie łańcuchy, złożone z pojedynczych ludzi, którzy pokrzykując wesoło, udawali trzaskanie salw karabinowych; po raz pierwszy od szeregu lat zaśniły mu oczy bezmierną radością.

— — — — — — — — —

Opustoszał plac musztry. W stołecznym mieście i wokoło zamku gromadziły się tłumy. Z uprzejmym gestem podchodzili niedorostkowie do buńczucznych p kielhaub i odbierali wymarzoną broń.

Śmiał się jedyny pan na zamku — orzeł o szarych znoszonych piórach. A kiedy ujrzał wojsko o którym śnił legendy i poznał w n'm swych znajomych ze zbiórek konspiracyjnych — rozwarł szerokie pióra, przylgnął rozedrganym, bijącym sercem do krawędzi balustrady zamku — i rzucił na bruk uliczny draperje nienawistne. Wyczuł swoją moc wolności i poszybował nad miastem stołecznem, przyglądać się nowemu życiu i nowym budowniczym.

* * *

W dostojnym cichym zamku śnił orzeł królewski. Wrócił z wędrówki, z rozległych wł ści kraju. Przyjrzał się zbliska ucztującym, wiecującym, i tym którzy umierali na polach bitwy z jego imieniem na ustach. Zmęczone loty piór ułożył na łagodność słonecznych promieni. Podparł skrzydłami zmęczoną głowę i znów się zapatrzył.

...Widział zamęt ministerjalny, anarchję, zmieniających się chamów, dyrektywy krzyków nad przepaścią — tęstnotę do radykalnego knuta. Chwiał starczą, mleczną głową i myslał o swej jednej tylko, biednej skołatanej głowie i o swych szponach, uwięzłych w kratach schronienia na zamku i o tym, że będzie musiał istnieć w stolicy-wiezieniu... *Z. Lwicz.*

Po pasterce.

W świetle ostatnich latarń gazowych migocą płatki śniegu na sealskinach i chinchillach znudzonych i śpiących snobów, wracających z „pasterki“.

— Ahaaha, ktoś ziewa; komuś znowu odbija się.

— Gdyby tak dwunastówkę zaprowadzono stale w nocy...

— Gwiazda betlejemska... jakie to jakieś blado-prymitywne, ja uznaję tylko gwiazdy filmowe.

— A ja panie Fredzie, tylko gwiazdę sowiecką, przekomarza się słodko — pusty głosik wśród ech i strzępów dyskursu.

— Ahaaha, znowu ktoś ziewa — tam znowu zadudniały sanie i leci uchrypły śpiew kolendy, którą zdaje się Magowie Wschodu przywieźli — Salome! Salome!

— Hm, co też ci pasterze betlejemscy paśli, kiedy takie zimno i śnieg wszędzie? ktoś rozumuje.

Korowód ginie za pyłkami śniegu. Latarnie gasną. Po pasterce. *pi.*

Jasełka.

Sztuka dadaistyczna z wkładkami futurludowemi. — Scena przedstawia szereg trójkątów w barwach ultrafioletowej i ultraczerwonej.

Wół. Muuu, muuu!

Osioł: Y-ia, y-ia! (głos osła staje się komicznie potężny) Yy-ah:

Wół: (milknie i zaczyna żuć) hrm, rhm, hrm, rhm!

Osioł: (milknie nadsłuchując zbliżaniu się pasterzy w drewnianych sabotach) — *Saboty:* tlp! tlp! tlp!

Nagle przerażenie. Osioł, Wół, Saboty milkną.

Cisza. Trójkąty nabierają barwę nicości.

Gwiazda betlejemska zaczyna zaświecać się i skwirczy: krsss! krsss!

Głos z za sceny: Dolać oleju!

Gwiazda betlejemska zaświeciła się.

Powszechny głos (wszyscy: od suflera do trójkątów) Aaa!

Gwiazda betlejemska świeci intensywnie.

Trójkąty odzyskują barwę ultraczerwoną i ultrafioletową.

Osioł: (odzyskuje tupet) Y-ia!

Wchodzą *Pastuszkowie betlejemscy.*

Orkiestra metadadaiczna: fujarki, kastaniety, piszczele baranie, bębny, czynele, zele, triangle, ciupagi i maszyny do pisania. Śpiewają piosenkę ludową, spływającą się z arytmami orkiestry, słychać tylko refren: Rymcym, cym! Rym, cym-cym!

Gwiazda betlejemska: rozszerza się, świeci coraz powszechniej i coraz bezbarwniej, ton jej staje się zimny.

Pierwsi uciekają ze sceny Pastuszkowie.

Zostaje Wół.

Wół (melancholijnie): mm-mm.

Trójkąty poczynają zasłaniać promienie Gwiazdy.

Wół stoi i wzdycha: mumm (stoi i stoi, zasłaniając scenę przed atakiem publiczności).

Kurtyna spada. *pi.*

Powrót uchodźcy.

Jesienny wicher z niepojętym uporem walił swym kudłatym łbem w szyby okna buduaru pani Marji, pięknej trzydziesto sześcio letniej kobiety, która we wspomnieniach, nosiła i gorycze smutków i błogosławione nadzieje szczęścia i słodycz miłosnej rozłąki — słowem te wszystkie wartości, które są w stanie albo zniekształcić byt, albo go rozpromienić i ponieść w takie wyże, dokąd żaden choćby najpiękniejszy lotnik nie dotrze.

Pani Marja była smutna. W ciągu dnia kilkakrotnie oczy jej zawlekała mgła niesperlonych łez, linja ust opuszczała się na dół, a palce wbijały okrągłe różowe paznokcie w maleńkie nic niewinne obecnie dłonie.

Przyczyną jej smutku był brak wiary w powrót dni szczęśliwych, wogóle od dłuższego czasu opanowały panią Marję bezmierne zwątpienia we wszystko i wszystkich, głównie w mężczyzn, z których żaden nigdy nie zdoła zgłębić duszy kobiecej, zrozumieć jej tęsknot i potrzeb, a głównie zastąpić jego...

W chwili kiedy pani Marja wypatrywała oczyma myśli skąd i jakim sposobem mogła by spłynąć na jej duszę i ciało jakaś najmniejsza choćby szczęśliwość, do drzwi buduaru ktoś cicho zapukał. Weszła tylko służąca.

— Proszę pani — zaczęła z drżeniem w głosie — jacyś państwo zjechali.

— Kto? zapytała pani Marja trwając jeszcze w swej zadumie.

— Pan z panią jakąś i dzieckiem...

— Do mnie?

— No tak!

Pani Marja wyszła do spowitego mrokiem salonu, gdzie na ludwikowskiej kanapie przycupnęły jakieś dziwne postacie zbiedzone, zaniedbane i wychudłe. On wyglądał jak słomianka z przed ministerjum, ona jak ananas zdeptany przez słonia, a owoc ich zapewne żywota i miłości, jak wniosek z tego ananasowo-słomiankowego mezaljansu. Z chwilą pojawienia się pani Marji w salonie wszyscy przybyli wstali i utkwili swe wyciągnięte chciwością źrenice z ciemnych oczodołów w pani Marji.

— Zenon! wykrzyknęła nagle pani Marja.

— Pozwólcie, że was przedstawię: moja żona i to moja żona, jakby to powiedzieć moja pierwsza przedwojenna i moja druga...

— Co się stało, co się dzieje? — pytała siebie i obecnych pani Marja widząc własnemi oczami swego rodzonego męża, który ponoś zginął w Rosji, a *którego* tak niedawno jeszcze kochała pani Marja, czego dowodem był długi welon krepowy i kapelusz à la pani Steinhal, dwadzieścia jeden nabożeństw żałobnych i łez strumienie.

— Marjo!

— Zenonie! Ty żeś to ty naprawdę Zenonie? — wykrzyknęła pani Marja z radosnem niedowierzaniem.

— On że jest Zenon, mąż mój! zauważyła z groźbą pani Natalja druga żona Zenona, dotychczas pokornie przyczajona.

— A mój to nie? spytała pani Marja z dziwnym błyskiem w oczach. Mój pierwszy mężczyzna, mój że tak powiem...

— A pani myśli, że mój trzeci, czy co? zawołała pani Natalja z oburzeniem.

— Ale ja byłam i jestem jego pierwszą żoną, moja pani...

— Żony moje!... starał się uspokoić swe dwie... zachodzi pytanie czy można powiedzieć w tem miejscu „połowice" sądzę raczej „ćwiercie".

— Och to mnie nic nie mówi! wyrzuciła z siebie p. Natalja.

— Ja pani nie znam i dosyć... Bezwstydna!

— Pani sama...

I poczęły, niby na seansie z Guzikiem, latać w powietrzu różne przedmioty: albumy, statuetki, pisma ilustrowane, popielniczki, barwne poduszki, serwety, żarówki i t. d., i t. d....

Co się działo w dalszym ciągu trudno opisać, tembardziej, że w salonie pani Marji zrobiło się ciemno i straszno.

Opierając się na powyżej opowiedzianem wydarzeniu rząd francuski podobno starannie opracowany projekt wielożeństwa spalił na placu Zgody w Paryżu.

J. Zyz.

Danina.

Bezdzietne małżeństwo. On fujara. Żona pyta się:

— Czy ty będziesz płacił daninę od nieruchomości? *x*

Demobil.

Stach idzie na wigilję do rodziców narzeczonej. Wyciąga mundur z szafy. Fredzio pociąga nosem:

— Pachniesz pan naftaliną!

— Nie, to zapach, którego pan nigdy nie wąchał!

— ? ?

— ...*prochu, prochu* panie *Zatylski.* *pi.*

Sprzedaż koni.

Minister Spraw Wewnętrznych polecił wojewodom sprzedaż koni nadliczbowych.

— Och, gdybyż to wszystkie Ministerstwa mogły się pozbyć swych niepotrzebnych „koni"! *Mar.*



Rys. A. Żmudy (Kraków).

Gwiazdka Andzi.



Andzia oczy ma jak fiołek —
Białe rączki, białe nóżki,
Więc na Gwiazdkę jej aniołek
Przyniósł — chłopca do poduszki.

Redaktor naczelny i kier. literacki: Henryk Zbierzchowski. — Kierownik artyst.: Zygmunt Kurczyński. — Zastępstwo Redakcji na Warszawę: Jerzy Guranowski. — Nakładem wydawnictwa „Szczutek“. Klisze wyk. w zakł. „Unia“. Redakcja i Administracja Lwów, Zimorowicza 5. — Warszawa, Nowy Świat 46. — Poznań, Krasińskiego 13. — Drukiem „Prasy“ Sokola 4.